GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 GRUDZIEŃ 1934

NR. 24 ROK IV

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 24
1934 R.
15—XII

ZDARZENIA i POGLĄDY

MNIEJ DOGMATÓW.

Im szybszy jest bieg wypadków, tem potrzebniejsze stają się punkty oparcia zmęczonej i zbłąkanej myśli.

Nurt wydarzeń gospodarczych jest coraz gwałtowniejszy. Gdzie szukać drogowskazów?

Przed laty paru, gdy rytm przemian w życiu gospodarczem stał się prędszy, ci którzy porwani zostali przez najsilniejszy prąd, tak kierownicy prywatnych przedsiębiorstw, jak i sternicy polityki gospodarczej Państwa, widząc niemożność łatwego, bezpośredniego zastosowania praw, ustalonych przez teorję ekonomji, jęli głosić całkowitą praw tych bezużyteczność. Hasło „strzeż się ekonomistów" rozbrzmiewało powszechnie. Wykazywano, że twierdzenia teoretyków nie mogą rzekomo służyć jako drogowskazy.

Lecz przyśpieszenie nurtu życia gospodarczego nie zmieniło jednego: podstawą oceny wypadków pozostaje tu jak dawniej *rachunek*. Dla obliczenia zaś szybkości prądu konieczne są punkty, które przyjąć musimy jeżeli już nie za stałe — to za możliwie mało zmienne.

W ucieczce od praw ekonomji, od praw, które uznano za nieistotne, wyznaczono nowe punkty oparcia — w samym nurcie życia.

Tę czy inną wskazówkę praktyczną, prawidło stworzone przypadkowo w biegu wypadków, uznano za dogmat, za drogowskaz. Postulaty wynikające z pewnej określonej sytuacji odrywają się od tła, które je w danym okresie wydało i uzasadniło, stają się sztywnym, niezależnym od zmian sytuacji, celem — dogmatem.

Dogmaty takie są fałszywe. Muszą być fałszywe w dziedzinie życia, gdzie nie wiara lecz myśl nadaje kierunek. Gdzie elastyczna i czujna analiza nie może się opierać o twierdzenia podane bez uzasadnienia.

Fałszywym dogmatem w rzeczywistości polskiej może być hasło zwiększania eksportu, o ile nie jest poprzedzone rachunkiem, czy eksport ten rzeczywiste przynosi korzyści. Może być zasada nie wpuszczania ani jednego kwintala towaru obcego, bez oceny czy takie stanowisko daje pożytek całości gospodarki narodowej. Może być nawet dążenie do zwiększenia ilości zatrudnionych w danej gałęzi produkcji, bez obliczenia wpływu na ogólny poziom zatrudnienia.

Fałszywych dogmatów tych może być i niewątpliwie jest wiele. Stanowią one największe niebezpieczeństwo dla kierowników polityki gospodarczej. Szablonami usiłuje się zastąpić prawa teorji ekonomji, uznawane za bezużyteczne, jako budowane w odmiennych warunkach życia gospodarczego narodów. Przy pełnej trzeźwości w ocenie praktycznych walorów praw ekonomji, (która zresztą ostatnio niejednokrotnie potrafiła wykorzystać dla nowych sformułowań zmieniony układ warunków), nikt nie może twierdzić, że taka zamiana jest zamianą na lepsze.

Ten pospolity błąd opierania się na „dogmatach" życia gospodarczego, wynika poprostu z zapoznania prawdy, iż nie wystarczy znajomość praw i postępów ekonomji, a konieczną jest jeszcze umiejętność stosowania ich do określonego układu warunków, zaś z nieznajomości, czy nieumiejętności stosowania tych praw nie można wyciągać wniosków o ich bezużyteczności.

WIKTOR DĘBOWIECKI

NAJSŁABSZY PUNKT

Dziedzina życia gospodarczego stanowi słabą stronę mocarstwowej sytuacji Polski. Praca w tym zakresie powinna rozpocząć się od przystosowania aparatu administracji gospodarczej do potrzeb chwili.

Na kontynencie europejskim odbywa się obecnie wielka rewja.

Rewja gry dyplomatycznej państw, gubiącej się w sieci paktów, porozumień i... nieporozumień.

Rewja sił zbrojnych narodów, gotujących śpiesznie sprzęt wojenny.

Rewja dojrzałości moralnej społeczeństw, których poszczególne grupy rezygnować muszą z obrony interesów własnych — dla dobra ogółu.

Rewja wytrzymałości organizmów gospodarczych, dotkniętych przez działanie kryzysu.

W tym momencie Polska zaakcentowała silnie swe prawa do tytułu i rangi mocarstwa. Stanowisko to wydaje się ze wszech miar uzasadnione. Jesteśmy mocarstwem ze względu na naszą wyjątkową sytuację w koncercie politycznym państw europejskich, mamy silną armję, idziemy w pierwszym szeregu społeczeństw, szukających nowych form życia zbiorowego, wykazujemy znaczną odporność na działanie kryzysu.

Musimy sobie jednak odrazu jasno powiedzieć: być mocarstwem, to nie jest równorzędne z pojęciem: — utrzymać się w roli mocarstwa. Czeka nas w tym kierunku wielki wysiłek, który musi być poprzedzony jasną analizą sytuacji. Gdzie leży nasz najsłabszy punkt?

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że w dziedzinie życia gospodarczego. Teza ta da się udowodnić chociażby przez proste stwierdzenie faktu, że silną armję, dobrą sytuację zewnętrzno i wewnętrzno - polityczną można osiągnąć w ciągu lat kilku lub kilkunastu. Stworzenie dobrego gospodarstwa wymaga nierównie więcej czasu. Zaniedbania dziesiątków lat wymagają długiego okresu konsekwentnej pracy.

Że zaniedbania te miały miejsce może nam uprzytomnić analiza jednego choćby problemu: sprawy przeludnienia wsi. Gdyby proces uprzemysłowienia Polski w ciągu XIX wieku postępował dostatecznie szybko, zjawisko przeludnienia wsi nie przybrałoby tak jaskrawych rozmiarów. Fakt, że parę miljonów ludzi w Polsce wegetuje w warunkach, które jedynie z trudnością dałyby się określić jako warunki egzystencji ludzkiej, stwarza konieczność wysiłku, idącego w kierunku wyrwania tej części ludności z nad granicy braku wszelkich potrzeb i doprowadzenia do jakiegoś poziomu wymagań. Jest to problem gospodarczy, który wypełnić winien na wiele lat programy prac rządu. Jest to zarazem problem polityczny i kulturalny.

Stwierdzenie to byłoby niewątpliwie truizmem, gdyby nie zbyt często powtarzające się w ostatnich czasach utożsamianie dodatnich rezultatów w zakresie przetrzymywania kryzysu z sukcesami odniesionemi na polu rozwoju gospodarczego kraju.

Nasza zdolność przetrzymywania w walce z kryzysem polega przedewszystkiem na umiejętności zaciskania pasa, w której górujemy nad innemi narodami. Trudno jednak jest budować mocarstwo — na pustych brzuchach.

Nie jest to demagogja. Jest to jedynie jasne określenie rzeczywistości, która mówi nam, że jeżeli chcemy realizować nasze słuszne ambicje mocarstwowe, to nie wystarcza nam tylko program przetrwania. Program ten bowiem może zadośćuczynić potrzebom jedynie tych narodów, które zdobyły już dostateczną ilość „miejsca pod słońcem". My tego miejsca mamy za mało, musimy o nie walczyć. Obok programu przetrwania musimy mieć program budowania, nawet dzisiaj w okresie kryzysu. Na tem polega trudność naszej sytuacji.

Program budowania — ale od czego rozpocząć? Jak go realizować? Spór na temat pozostawienia możliwie szerokiego zakresu działania inicjatywie prywatnej, czy zwiększenia zakresu ingerencji państwa pozostaje wciąż otwarty. Czy ten program budowania winno rozpocząć państwo, czy też wystarczy jedynie szeroki gest w stronę obywateli w myśl zasady „enrichissez vous"?

Pozostawiając na uboczu samo meritum zagadnienia musimy stwierdzić, że w ciągu ostatnich paru lat obserwujemy bardzo silny wzrost interwencjonizmu, że tem samem państwo stało się jeżeli nie wyłącznie to w każdym razie bardzo silnie odpowiedzialne za zakres i tempo rozwoju gospodarczego kraju. Realizacja jakichkolwiek bądź większych zamierzeń z dziedziny gospodarczej nie wydaje się dziś możliwą bez wiążącego placet ze strony czynników polityki gospodarczej.

Tutaj mimowoli myśl zatrzymuje się na zagadnieniu szczególnie ważnem: w jakim stopniu aparat polityki gospodarczej państwa przystosowany jest do wzmożonej działalności — a tem samem do wzmożonej odpowiedzialności. Administracja gospodarcza w ciągu kilkunastu lat istnienia Państwa Polskiego była niejednokrotnie rozbudowywana i przebudowywana. Przebudowa dokonywała się zwykle w formie dość pośpiesznej. Tworzone nowe instytucje jakoś doczepiano do już istniejącego aparatu. Instytucje te żyły i rozwijały się, lub ginęły, w zależności od sytuacji jaką umieli sobie wytworzyć ich kierownicy. Rezultatem tego dość przypadkowego przebiegu procesu powstawania administracji gospodarczej są jej zasadnicze wady: brak ściśle rozgraniczonych kompetencji, trudność ustalenia odpowiedzialności.

Możność decyzji skrępowana została bardzo wydatnie. Większość aktów ustawodawczych z zakresu spraw gospodarczych porucza wykonanie ich poszczególnym ministrom, przy zastosowaniu zasady porozumienia z innymi ministrami. Samodzielne pole działania ministrów jest bardzo ograniczone. Rezultatem konieczności uzgodnienia niektórych nawet stosunkowo drobnych spraw między ministrami jest przesunięcie odpowiedzialności bardzo wysoko — tak wysoko, że w wielu wypadkach trudno byłoby określić, kto jest dzisiaj odpowiedzialny za bardzo ważne nieraz działy polityki gospodarczej.

Zatarcie odpowiedzialności, skrępowanie decy-

zji bardzo ujemnie oddziałuje na sam tok prac t. zw. „resortów" gospodarczych. Urzędnicy przeładowani są konferencjami międzyministerjalnemi. Przytem konferencje te z reguły wyglądają w ten sposób, że z jednej strony z ramienia ministerstwa, podejmującego inicjatywę, w pewnym zakresie występują urzędnicy gruntownie zaznajomieni z zagadnieniem, które ma być rozważane na konferencji, z drugiej strony z innych „zainteresowanych ministerstw" przychodzą urzędnicy, których wydelegowano i którym dano „wgląd w sprawę" na parę godzin przed samą konferencją. Zdarzają się wypadki, że w jednym z ministerstw gospodarczych jeden urzędnik załatwia sprawy, stanowiące podstawę pracy całego departamentu innego ministerstwa. W tych warunkach konferencje międzyministerjalne nie mogą dać dobrych wyników. Pogłębienie zagadnienia osiąga się dopiero wówczas, gdy pewna sprawa wałkowana jest na całym szeregu konferencji. Konferencje takie często odbywają się „wielostopniowo" t. zn na początku uzgadniają referenci, następnie naczelnicy wydziałów lub dyrektorzy departamentów, ostatecznie sprawa idzie na komitet Ekonomiczny Ministrów.

Rezultatem tego toku pracy jest:

1) Konieczność wielokrotnego opracowywania danego zagadnienia w poszczególnych instytucjach administracji gospodarczej. Wytwarza się typ pracy „omnibusowej", utrudniającej pogłębianie spraw, wchodzących w zakres właściwego terenu działania danego urzędnika.

2) Powiększanie wydatków na administrację gospodarcza. Państwo musi utrzymywać stosunkowo znaczna liczbę urzędników, zatrudnionych w poszczególnych instytucjach temi samemi problemami w równie powierzchowny sposób.

3) Brak elastyczności administracji gospodarczej, który powoduje konieczność zwiększania elastyczności w zakresie norm ustawodawczych.

Elastyczność w zakresie norm ustawowych wprowadza czynnik niepewności do gospodarki prywatnej w znacznie silniejszym stopniu, niżby to wynikało z układu warunków, powodujących konieczność interwencji państwa. Nie sam fakt interwencji paraliżuje inicjatywę prywatną, lecz niemożność ustalenia w jakim kierunku ta interwencja będzie zmierzać.

Istnieją wypadki, w których sprężystość działania administracji gospodarczej uzależniona jest w znacznym stopniu od pewnego stopnia elastyczności w ustawach. Istnieją jednak wypadki odwrotne, gdy płynność zarządzeń prawnych wynika ze skostnienia administracji. Taki stan rzeczy jest wysoce niepożądany.

Już chociażby ze względu na zmiany jakie zaszły w strukturze gospodarczej świata i Polski w ciągu ostatnich kilku lat wydaje się konieczną reforma administracji gospodarczej, budowanej przed laty kilkunastu, według wzorów z przed laty kilkudziesięciu.

Polityka gospodarcza Polski od czasu odzyskania niepodległości idzie w dwuch zasadniczych kierunkach: naprawy finansów oraz budowy życia gospodarczego kraju. Uporządkowane finanse konieczne są przedewszystkiem dla celów politycznych. Musi się znaleźć pokrycie wydatków na armję, oświatę i t. d. Rozwój życia gospodarczego hamowany bywa niejednokrotnie przez zbyt wielki nacisk świadczeń publicznych. Stąd pewnego rodzaju przeciwstawność, która na dłuższą metę może nie istnieje, natomiast w wypadkach „dnia codziennego" zaznacza się z całą siłą.

W momencie wzrostu etatyzacji sytuacja komplikuje się jeszcze więcej. Tu już w wielu wypadkach niema przeciwstawności interesów Skarbu i obywateli, tylko poprostu przeciwstawność interesów dwuch instytucji państwowych — jednej reprezentującej punkt widzenia finansowy, a drugiej stanowisko Państwa jako przedsiębiorcy. Niedostatecznie jasne rozróżnienie tych dwuch kierunków polityki gospodarczej prowadzi do często spotykanego w rozmaitych instytucjach państwowych „gospodarskiego" sposobu myślenia, dla którego analogji należałoby się doszukiwać w ujmowaniu spraw gospodarczych przez „ekonomów królewskich" z epoki przedkapitalistycznej, gdy o nauce ekonomji nie było jeszcze mowy, kwitły natomiast umiejętności kameralistów.

Reforma administracji gospodarczej państwa powinna być przeprowadzona od podstaw — gruntownie. Kompetencje urzędów powinny być ściśle określone. Zakres działania kolegjalny w wielu wypadkach zamieniony przez kompetencje jednostkowe. Odpowiedzialność powinna być przeniesiona na poszczególnych ministrów, a nawet w wielu wypadkach „niżej" — na kierowników mniejszych działów pracy.

Reforma administracji gospodarczej mogłaby się stać pierwszym krokiem na drodze wzmocnienia najsłabszego punktu naszej obecnej sytuacji.

JOZEF PONIATOWSKI

O SENS SZARWARKU

Dysproporcja w skutkach gospodarczych wykonywania powinności szarwarkowych przez gospodarstwa rozporządzające nadmiarem niezużytkowanej pracy z jednej strony i z drugiej przez gospodarstwa, które takiego nadmiaru nie posiadają, paczy istotny sens tej pożytecznej instytucji.

Pisząc w n-rze 12 „Gospodarki" z 1933 r. o rozbieżnych i wspólnych interesach drobnych i wielkich warsztatów rolnych nie mogłem pominąć zagadnienia szarwarku. Nazwałem wówczas szarwark „błogosławioną instytucją pozwalającą zużytkować część pracy niepotrzebnej, marnującej się wskutek przeludnienia wsi. dla dobra pospólnego". Równocześnie zaznaczyłem, że szarwark dla gospodarstw nieprzeludnionych, odczuwających niedostatek sił roboczych nie może mieć tego samego charakteru i stanowi dla nich realne i dotkliwe obciążenie gospodarcze, nie różniące się od innych podatków i danin.

Poruszone zagadnienie, mało popularne w publicystyce, nie wyłączając specjalnej prasy samorządowej, doczekało się w ostatnich miesiącach

oświetlenia z kilku stron, być może w związku z zamierzoną jakoby nowelizacją ustawy, mającą rozszerzyć stosowanie szarwarku. Stanowisko autorów jest naogół zgodne z wyżej streszczonem, przy silniejszem podkreśleniu bądź jednej, bądź też drugiej strony medalu. Zwłaszcza po szczegółowej analizie zarówno korzyści stosowania szarwarku, jak i niesłuszności jego dzisiejszego rozkładu, dokonanej przez p. Zygmunta Rusinka na łamach n-ru 19 „Rolnika Ekonomisty", rzecz wydaje się dostatecznie wyjaśniona i djagnoza trudna do obalenia.

Gorzej jest z terapją. P. Rusinek, którego artykuł ma szczególną wartość, prawie się ogranicza do djagnozy. Inni autorowie podają środki połowiczne, lub rozbieżne, przy naogół nikłem uzasadnieniu. Zainteresowani bronią się w praktyce przedewszystkiem przez wywieranie wpływu na rady gminne, by jaknajmniej posługiwały się szarwarkiem. Zdecydowanie przeciwstawiają się rozszerzeniu stosowania szarwarku na drogi powiatowe lub wojewódzkie. Jest oczywiste, że te dążenia, słuszne, z punktu widzenia obciążonych, o ile są skuteczne, niwelują także korzyści, które szarwark mógłby przynieść. Takie recepty, jak stosowanie szarwarku w porze dogodnej dla zainteresowanych, n. p. po ukończeniu robót wiosennych w polu, a przed sianokosem, albo celowość i ekonomja prowadzonych prac, są niewątpliwie słuszne, ale mogą być zaliczone do truizmów, nie zmieniają zasadniczo wyżej podkreślonej sprzeczności i sprowadzają się ostatecznie do aksjomatu, że nielicząca się z potrzebami życia, albo niezdarna gospodarka może najlepszą instytucję zamienić na szkodliwą.

Dość powszechną jest opinja, że w interesie obciążonych leży jaknajwyższe szacowanie dnia pracy, tak ręcznej, jak i sprzężajnej. Rzeczywiście, jeśli gmina określa szarwark w jednostkach pieniężnych, wyzyskując najwyższy dozwolony stosunek do wymiaru podatku gruntowego, a potem przelicza obciążenie na dnie pracy, wówczas wyższy szacunek dniówki stanowi, oczywiście, o mniejszej liczbie dniówek do odrobienia. Gospodarstwom, nie mającym nadmiaru własnej siły roboczej opłaca się wówczas wynajmowanie robocizny dla odbycia szarwarku. Zasadnicza dysproporcja zostaje jednak nienaruszona, a nadto cała metoda sprowadza się do redukcji ogólnego rozmiaru prac szarwarkowych.

Niemniej stanowczo wypada odrzucić propozycje, pozornie logicznie wypływające z istoty szarwarku, aby świadczenia wymierzano proporcjonalnie do zasobów potencjalnej a nieuruchomionej zdolności do pracy, skąd wynikałoby zupełne zwolnienie gospodarstw, które tego zasobu wolnej pracy nie mają. Nie wolno bowiem pomijać okoliczności, że nawet odbycie szarwarku kosztem zupełnie wolnego czasu stanowi pewien wysiłek, a wykonane roboty służą nietylko pożytkowi tych, którzy ten wysiłek zrobili, ale także pożytkowi ogółu. Korzystanie zaś przez zamożniejszych z pracy uboższych bez dopłaty byłoby jawnie sprzeczne z moralnością publiczną. Byłoby to popadnięcie w przeciwną, ale jeszcze groźniejszą sprzeczność z zasadą sprawiedliwości rozkładu niż stan obecny.

Szarwark powinien być instytucją gospodarczą, dla ogółu pożyteczną, nie narzędziem celowych przesunięć w podziale dochodu społecznego. Do tego ostatniego celu Państwo ma dostateczne środki w polityce skarbowej. Znalezienie jednak właściwego stosunku obciążenia gospodarstw mających nadmiar rąk do pracy i nie mających tego nadmiaru jest niełatwe. Tak n. p. prosta degresja w obciążeniu szarwarkiem każdego hektara w miarę wzrostu gospodarstw byłaby nieuzasadniona, bo intensywne gospodarstwo 10 czy 15 hektarowe może równie wysoko oceniać wartość pracy, jak i największe latyfundjum. Podział gospodarstw na dwie kategorje, z których jedna, uznana za posiadającą wolną siłą roboczą, byłaby obciążoną w stosunku do hektara silniej od drugiej, wydaje się niezmiernie trudny, jeśli się chce uniknąć grubych krzywd. Upoważnienie zarządów gminnych do indywidualnego zmniejszania wymiaru w wypadkach niewątpliwych nie rozwiązywałoby całości zagadnienia, wprowadzając zato przypadkowość, a może i demoralizację samorządu.

Sposób postępowania, który niniejszym poddaję dyskusji, nie wydaje mi się idealnem rozwiązaniem, ale w każdym razie odznacza się prostotą i daje bodaj najwłaściwsze kryterjum podziału na dwie kategorje, o których wyżej była mowa — podziału przez samych zainteresowanych. Sposób ten polegałby na *oznaczaniu rozmiarów prac szarwarkowych w gminie odrazu w dniach pracy, a następnie w bardzo niskim, kilkakrotnie niższym od dzisiejszego, szacunku dniówki szarwarkowej dla* tych, którzy się od niej wykupią gotowizną, albo produktami, czy innemi świadczeniami. Dolną granicą tego szacunku byłaby taka ocena dniówki, przy której nie chcieliby jej odrabiać nawet ci, którzy rozporządzają zupełnie wolnym czasem. Biorąc pod uwagę dzisiejsze stosunki gospodarcze, oraz wykonywanie szarwarku w dogodnej dla rolnika porze, przypuszczam, że już przy szacunku dniówki szarwarkowej pieszej, zależnie od rejonu, 20 — 30 groszy, w rejonach podmiejskich i przemysłowych nieco wyżej, olbrzymia większość zainteresowanych odrabiałaby szarwark pracą, a wykupywaliby się ci jedynie, którzy dla odbycia szarwarku musieliby pracę wynajmować. Praktyka mogłaby te normy skorygować. Także w stosunku do pracy sprzężajnej można określić takie normy, przy których ci wszyscy, którzy mają inwentarz pociągowy tylko w wysokości niezbędnej dla prac we własnem gospodarstwie, nawet w okresach mniejszego natężenia robót, woleliby się wykupywać od szarwarku, a ci, którzy nie są w stanie dostatecznie swego inwentarza zatrudnić, odbywaliby wyznaczone prace. Zarzut, że dla gospodarstw, płacących wykup, zniknie ewentualność odrabiania szarwarku przez wynajętą siłę roboczą i że charakter obciążenia podatkowego wystąpi tem wyraźniej, wydaje się mało realny, bo i obecnie szarwark ma dla tych gospodarstw charakter podatku, tylko kilkakrotnie wyższego. Wpływy gminy oczywiście zmaleją przez zmniejszenie sum wykupu, ale przecież szarwark nie miał być w założeniu źródłem znacznych wpływów od gospodarstw, które go nie wykonywują, a nadto należności za niewykonany szarwark należą zazwyczaj do najtrudniejszych do ściągnięcia. Przy redukcji ich wymiaru ściąganie stałoby się znakomicie łatwiejsze.

Ulga, którą w ten sposób otrzymałyby gospodarstwa, niesprawiedliwie przeciążone przy dzisiejszym systemie szarwarku, nie zwiększyłaby au-

tomatycznie obciążenia reszty gospodarstw. Jeżeli jednak gmina chciałaby znaleźć rekompensatę za zredukowany wymiar, mogłaby zwiększyć ogólne obciążenie. Zawsze przy sprawiedliwym rozkładzie istnieje możliwość dokładniejszego wyzyskania lokalnych zasobów pracy, niż przy rozkładzie niesprawiedliwym. Ogólny więc efekt prac szarwarkowych możnaby nawet podnieść bez wywoływania katastrof gospodarczych dla poszczególnych warsztatów. Jeżeli, pomimo to, mam pewne wątpliwości co do pożyteczności rozciągnięcia prac szarwarkowych na drogi wyższych jednostek administracyjnych, (powiatowe i wojewódzkie), to dlatego, że nasuwa się tu obawa już dość powszechnego oportunistycznego spychania zadań i ciężarów z wyższych jednostek na niższe, co zkolei prowadzi do terytorjalnego rozkładu obciążeń nie mającego nic wspólnego z rzeczywistemi możliwościami poszczególnych gmin i gromad wiejskich.

Dzisiejszy stan rzeczy zachęca do pewnego stopnia w tych gminach, gdzie większa część gruntu należy do gospodarstw większych, a decyzję o wymiarze szarwarku mają drobni gospodarze, do stawiania demagogicznych wniosków, prowadzących czasem do marnotrawstwa pracy szarwarkowej. Z drugiej strony, zmuszał on do ustawowych ograniczeń i do możliwego redukowania szarwarku wszędzie tam, gdzie wpływ mają przedstawiciele gospodarstw, posługujących się pracą najemną. Przy niskim wykupie, a ekonomicznem i dla wszystkich pożytecznem gospodarowaniu szarwarkiem, sprzeciwy straciłyby uzasadnienie, a właściwą miarą dla oznaczania rozmiarów szarwarku mogłaby być ilość wolnych rąk i wolnego inwentarza z jednej strony, potrzeba wykonania prac, wymagających niewykwalifikowanej robocizny — z drugiej. Nie może być mowy o tem, aby szarwark zapobiegł odczuwaniu przesilenia, jako olbrzymiej klęski społecznej i gospodarczej, ale może w pewnym, umiarkowanym stopniu wspomnianą klęskę złagodzić zwiększając kapitalizację społeczną na odcinku komunikacyjnym, może także meljoracyjnym, a więc tam, gdzie obawy hyperinwestycyj napewno są dalekie.

Powyżej rzucony zupełnie szkicowo projekt pogodzenia sprzeczności, wynikających z jednolitego traktowania gospodarstw o różnej strukturze, sprowadza się ostatecznie do nadania szarwarkowi jego właściwej funkcji, przy uznaniu, że odnosi się on tylko do gospodarstw, które mają możność odbywania go kosztem wysiłku, ale bez kosztu gospodarczego, przy równoczesnem obciążeniu pozostałych gospodarstw umiarkowanym podatkiem. Wpływ z tego podatku szedłby na pokrycie kosztów materjałów i administracji robót szarwarkowych.

Zdaję sobie sprawę, że proponowany sposób wywołać może niezadowolenie i sprzeciwy ze strony obu grup zainteresowanych. Niektórzy chcieliby bardzo daleko idącej redukcji roli szarwarku, zapominając o naszej specyficznej strukturze ludnościowej, albo też spodziewają się bardzo radykalnej zmiany podstaw wymiaru. Dla innych będę przedstawicielem czarnej reakcji, która szuka okazji dokonania zamachu na dobro ludu w obronie feodałów, którym i tak dzieje się w Polsce zbyt dobrze. Sądzę poprostu, że jedni i drudzy cierpią na osłabienie poczucia rzeczywistości.

U W A G I

OGON ŚLEDZIOWY.

Kto z nas nie pamięta z lat szkolnych popularnego „powiedzonka" o charakterze nigdy niewykonywanej groźby: „Nie będziesz się uczył — oddam cię do szewca"?... Dlaczego właśnie postponowano ten właśnie zawód — nie wiadomo, mimo, że oddawna są znane bardziej wyczerpujące, bardziej podobne do „karnych ćwiczeń" zawody. Mniejsza z tem jednak. „Powiedzonko" o smaku przysłowia odzwierciadlało tradycyjny stosunek t. zw. oświeconych sfer do pracy rzemieślniczej, z którą — jeśli chodzi o traktowanie — jedynie handel równać się może. Rzemiosło było dobre dla chłopa, ale, broń Boże, dla inteligenta, choćby to był najskromniejszy kancelista. Karjera księdza, nauczyciela, urzędnika lub adwokata czy lekarza — to był ideał rodziców i dzieci. Raczej zostać robotnikiem, zwłaszcza, że robotnik wielkoprzemysłowy miał — jak sądzono w niektórych sferach — objąć wespół z chłopem ów „złoty róg". Ale kupcem lub rzemieślnikiem — fe! Skąd znowu. Zdrada idei, sfilistrzenie, groszoróbstwo i t. p.

Okres powojenny trochę ten stan rzeczy skorygował, ale go nie przerobił. Jak stwierdziło badanie, przeprowadzone przez Instytut Psychotechniczny w Warszawie w r. 1927/28, tylko 16% uczniów polskich stołecznych szkół zawodowych było dziećmi urzędników, pracowników instytucyj użyteczności publicznej i zawodów wolnych. Równie niepomyślny obraz kształtował się w grupie kupiecko - rzemieślniczej, którą reprezentowało zaledwie 24% uczniów, co dowodzi nietyle ciężkiego położenia rzemieślników i kupców, ile z jednej strony wpływu poglądów inteligencji na te zawody, z drugiej zaś — niechęci fachowców do wiedzy szkolnej, teoretycznej. Uderza natomiast, że rolnicy dostarczyli 16%, a robotnicy 44%, ogółu uczniów; jest to objaw dodatni, świadczący o naturalnem dążeniu do poprawy bytu, którą — w słusznem przekonaniu chłopa i robotnika — tylko wiedza fachowa zapewnić może.

Stosunek społeczeństwa polskiego do zagadnienia rzemiosła nie ogranicza się jedynie do naszkicowanego wyżej odcinka. Odcinek ten jest mimo to i najbardziej charakterystyczny i — że tak powiem — kluczowy. Wiedząc o jego istnieniu, łatwiej będzie zrozumieć ferment, panujący dzisiaj w łonie samego rzemiosła, które ugina się pod ciężarem strukturalnych kłopotów, pomnażających jego zmartwienia natury konjunkturalnej.

Istnieje w Polsce, jak wiadomo, coś nie coś ponad 300.000 zakładów rzemieślniczych. Rozumie się — legalnych, bo nielegalnym (a takich jest podobno do 100.000) będzie warsztat, którego właściciel nie wykupił karty rzemieślniczej, wydanej przez starostwo „po wykazaniu przed tą władzą posiadania zawodowego uzdolnienia do prowadze-

nia danego rzemiosła“ (art. 144 prawa przemysłowego). Dowodem uzdolnienia jest w zasadzie[1]) bądź tytuł mistrza, zdobyty po dwuch egzaminach (czeladniczym i mistrzowskim) ewent. po jednym egzaminie (czeladniczym), po 3 wzgl. 6-o letniej praktyce czeladniczej i po ukończeniu odpowiedniej szkoły dokształcającej (art. 145 i 158), bądź pomyślny wynik egzaminu czeladniczego plus 3 letnia praktyka czeladnicza (rt. 145), bądź też stwierdzona w „inny wystarczający sposób“ (art. 146) fachowość kandydata. Prawodawca jest więc b. liberalny i zezwala każdemu, kto się uczył rzemiosła w szkole lub przy warsztacie, posiadać kartę rzemieślniczą. Kto jej nie posiada, nie może „prowadzić przemysłu rzemieślniczego“ (art. 144).

Zdawałoby się, że wobec takiego postawienia sprawy przez ustawę istnieć powinny tylko legalne warsztaty rzemieślnicze, tem więcej, że prawodawca w art. 198 zezwolił, aby do 1. I. 1935 r. posiadacze praw nabytych (t. j. posiadający przed 15. XII. 1927 r. w b. zaborze austrjackim t. zw. karty przemysłowe, w pozostałych zaś dzielnicach dowód zgłoszenia lub zarejestrowania w gminie, opłacenia podatku przemysłowego i t. p.) zarejestrowali swe uprawnienia uzyskując formalne potwierdzenie ich niewątpliwej legalności. Tymczasem jest zupełnie inaczej, skoro ¼ czy chociażby 1/5 rzemieślników działa poza prawem i przez prawo („dura lex sed lex“) musi być ścigana.

Problem nielegalności czyli „fuszerstwa“ w rzemiośle jest nietyle zjawiskiem prawniczem, ile społeczno - ekonomicznem[2]). Jeżeli pominiemy te stosunkowo rzadkie wypadki, kiedy rzemieślnik przez lenistwo lub nieświadomość nie dopełnił obowiązku rejestracji praw nabytych lub nie przystąpił do przepisanych przez prawo egzaminów, to w zasadzie powód jego konfliktu z art. 144 p. p. leży po stronie — współzawodnictwa. W prasie fachowej mówi się przeto o zagadnieniu partactwa czyli fuszerstwa, aczkolwiek partacz (fuszer) i nielegalny to nie są pojęcia identyczne, chociaż często się ze sobą pokrywają. Rzemiosło (naturalnie legalne) zarzuca poprostu „tamtej stronie“ nielojalną konkurencję, której podstawą ma być — niepłacenie podatków i ciężarów socjalnych oraz kosztów, związanych z prawidłową nauką i egzaminami.

Powyższy zarzut jest „generalną linją“ stanowiska samorządu, cechów i prasy rzemieślniczej. Dowodzi się, że nielegalny i do tego niefachowy rzemieślnik psuje ceny, byleby się utrzymać przy życiu, a wolny od tych i owych ciężarów pieniężnych ma niższe koszty produkcji. Dowód ten jednak nie jest dostatecznie umotywowany, albowiem ciężary socjalne ponosi tylko drobna część rzemiosła, podatek zaś płaci najwyżej połowa ogółu rzemieślników (świadectw VI — VIII kat. wykupiono ok. 200.000) — przyczem — co należy podkreślić — najniższa (VIII) a zarazem najliczniejsza (ok. 180.000 zakładów) grupa płaci z reguły (gdyż zatrudnia przeważnie samego właściciela lub 1 członka rodziny) od 7 do 25 zł. rocznie[3]), co w przeliczeniu na wartość produkcji nie może zaważyć na cenie produktu.

Trudniej natomiast odmówić legalnemu rzemieślnikowi racji, gdy w nielegalnym współzawodniku widzi on nieuczciwego konkurenta nie z racji ceny, lecz z racji — jakości, a raczej z obydwuch tych punktów razem. Jeżeli jeden szewc sprzedaje obuwie tego samego rodzaju po cenie niższej od ceny, jakiej żąda drugi szewc, to wówczas może być kwestją drugorzędną, który z nich jest legalny, aczkolwiek nie sposób zaprzeczyć, że płacić podatki powinien każdy, kogo prawodawca do płacenia pociągnął. Jeżeli natomiast różnica ceny służy do przykrycia różnicy jakościowej, wówczas następuje demoralizacja rynku i podkopywanie zaufania do rzemiosła. Zwrócić zaś trzeba uwagę na fakt, że prawo przemysłowe wyraźnie koncesjonuje rzemiosło, t. zn. wymagając w art. 144 dowodu uzdolnienia, na jakość produkcji pośrednio kładzie silny akcent. Podstawą tej koncepcji jest nietylko tradycja rzemieślnicza, lecz również indywidualizm obróbki towaru.

Niestety, całokształt polskich warunków gospodarczych w znacznej mierze przekreśla tę słuszną koncepcję. Mówię: całokształt, gdyż mam na myśli z jednej strony warunki moralne, z drugiej — materjalne. O tych pierwszych wspomniałem celowo na początku, teraz zaś tylko podkreślam, że ogólna atmosfera, ogólny stosunek do pracy rzemieślniczej sprzyja lekceważeniu momentu legalności = fachowości i tolerowaniu rzemiosła pokątnego = fuszerstwu. Wszakże raz po raz słyszy się skargi nawet na władze samorządowe i państwowe (zwłaszcza niższych instancyj), że świadomie używają dla dostaw i robót rzemieślników, nie mających kart rzemieślniczych. Ale — co ciekawsza — nie są bez grzechu i sami legalni rzemieślnicy: jak się wyraził jeden z działaczy rzemiosła wielkopolskiego na zebraniu w dniu 29. VIII. b. r. w Gnieźnie — „ścigając konkurentów partaczy ze swojej branży, mistrzowie rzemieślniczy przy udzielaniu zleceń sami posługują się partaczami w innych branżach“ („Głos Rzemieślnika“ Nr. 38 str. 10).

Tutaj dotykamy przeto drugiej strony zagadnienia: siły płatniczej społeczeństwa. Jest ona powszechnie b. słaba i dlatego czy to instytucja publiczna, czy to osoba prywatna, licząc się z każdym groszem, prowadzi politykę zaciskania pasa czyli preferencji cen najniższych bez uwzględnienia przydatności danego towaru na okres, dłuższy od okresu kryzysu. Na tem tle utyskiwania wykwalifikowanych rzemieślników przybierają zupełnie inny wyraz. Inna sprawa, że niektóre koła rzemieślnicze chcą walczyć z tem zjawiskiem w sposób niewłaściwy. Pismo „Piekarz Polski“ (Nr. 44 z 4. 11. b. r.) informuje, że we Lwowie „według krążących w sferach rzemieślniczych wersyj zamierzają zarządy kilku cechów zamknąć na 3 lata listę terminatorów. Zarządzenie powyższe ma na celu, wobec rosnącego z dniem każdym bezrobocia, powstrzymać nowy dopływ sił do zawodu“. Taka metoda do niczego nie doprowadzi; chybia ona celu, którym jest podniesienie jakości rzemiosła, a nie ograniczenie ilości pracowników.

———————

[1]) Ponadto dowód uzdolnienia można otrzymać po egzaminie na majstra wojskowego, po ukończeniu specjalnych szkół technicznych lub po zdaniu również specjalnego egzaminu fachowego (art. 145).

[2]) „Partactwo jest plagą, której bynajmniej nie da się usunąć drogą zarządzeń administracyjnych“ (poznański „Głos Rzemieślnika“ Nr. [illegible] 1934 str. [illegible]).

[3]) Tyle wynosi cena świadectwa przemysłowego (w zależności od miejscowości) z wszystkiemi dodatkami łącznie. Ponadto przedsiębiorstwa, które zatrudniają 1 pracownika,

Tem nie mniej otwartą pozostanie kwestja konkurencji już nie towaru z towarem ani legalizmu z nielegalnością, lecz — żołądka z żołądkiem. Chodzi przecież o to, czy człowiekowi wystarczą dwa, czy nawet tylko jedno dzwonko śledziowe. Zresztą na tem nie koniec, gdyż śledź, jak wiadomo, posiada — ogon, który podobno nadaje się do strawienia. I dlatego spoza przepisów prawa przemysłowego, podatków i partactwa wyziera — ogon śledziowy: równocześnie symbol i podłoże rzeczywistości.

j. gozd.

HANDEL A ŻEGLUGA.

Nadeszła chwila, w której autor niniejszej uwagi powinien zaapelować do cierpliwości wytrwałych czytelników (jeśli są tacy) kolejno się ukazujących „Uwag", stanowiących rozwinięcie zasad naszkicowanych w artykule „Nieustanne święto" (Nr. 8 „Gospodarki"). Dwa jeszcze tylko zagadnienia, rozpatrywane pod kątem rozwoju naszego handlu morskiego, wymagają bliższego wyjaśnienia, mianowicie: organizacja i charakter połączeń żeglugowych naszego portu oraz sprawność administracyjna tego portu. Poświęcimy dzisiejszą uwagę zagadnieniu pierwszemu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bezpośrednie połączenia, żeglugowe, tj. połączenia pozwalające na przywóz i wywóz towarów bez przeładunku z krajów pochodzenia i do krajów przeznaczenia stanowią prawdziwy nerw życiowy portu. Przyczyny dla których połączenie bezpośrednie korzystniejsze jest, dla gospodarstwa narodowego obsługiwanego przez dany port, od przewozu łamanego jasne są na pierwszy rzut oka. Koszty frachtu bez przeładunku są oczywiście niższe, czas transportu ulega skróceniu. Jak każda jednak oczywistość, tak i ta kryje w sobie jednak cały szereg wątpliwości odwracających rzeczywistość do góry nogami. Zacznijmy od sprawy kosztów.

Jak wiadomo szereg portów o znaczeniu światowem uznany jest przez międzynarodowe konferencje żeglugowe, t. zn. kartele towarzystw okrętowych za t. z. basis - port — porty zasadnicze, w utartym polskim przekładzie. Stawki na przewóz do portów tych, niezależnie od pewnych niezbyt znacznych różnic odległości, są jednakowe. Fracht zatem z La Plata do np. Londynu, Rotterdamu, Hamburga jest jednakowy. Przeciwnie, linje zawijające do innych portów zmuszane są przez konferencje do pobierania opłat dodatkowych „additional rank". Opłaty te dla Gdyni wahają się w granicach 2/6 sh — 5 sh, od tony. Oto okoliczność zaprzeczająca często „oczywistej" taniości przewozu bezpośredniego.

Dodajmy odrazu, że lekarstwem na tę trudność jest wznowienie starań o uznanie Gdyni, wobec rozmiarów jej obrotu, za port zasadniczy, albo też — praca z outsiderami.

Szybkość przewozu nie zawsze pokrywa się z bezpośredniością, jeśli zważyć np., że komunikacja Gdyni z Dalekim Wschodem odbywa się raz na miesiąc i nie może być, narazie, częstszą ze względu na rozmiary ładunków; natomiast porty brytyjskie, niemieckie czy holenderskie mają połączeń tygodniowo parę — to przy dostawach terminowych przewóz bezpośredni może być czynnikiem opóźniającym.

Jednakże obok tych wątpliwych, choć niekiedy wątpliwych korzyści, istnieją, ważniejsze znacznie, korzyści niewidoczne. Sedno leży w tem, że posiadanie i wykorzystanie bezpośrednich połączeń jest nieodzownym czynnikiem usamodzielnienia handlu. Jeśli pragniemy usunąć pośrednika rezydującego w obcym porcie, to musimy mieć à la longue możność pominięcia także tego portu. Jeśli pragniemy zyskać sobie potężnego a bezpłatnego akwizytora dla eksportu i agenta handlowego pracującego nad wynalezieniem egzotycznego dostawcy — to musimy pracować z towarzystwami okrętowemi obsługującemi Gdynię, które nieraz posiadają rozwiniętą sieć placówek, „kantorów" w krajach zamorskich. Musi zatem importer czy eksporter polski, który bądź już swój handel usamodzielnił — a korzysta z obcego portu tylko jako ze stacji przeładunkowej, bądź też wogóle handlu swego nie jest w stanie usamodzielnić, — pracować z linjami bezpośredniemi, ponosząc chwilowo koszta opłat dodatkowych i starając się dostawy swe dostosować do rejsów gdyńskich, uciekając się tylko w drodze wyjątku do transportu łamanego.

Dotychczas myśl nasza rozwijała się bez większych wahań, obecnie jednak wypada podkreślić drażliwość całego zagadnienia. Oto linje bezpośrednie odbierają chleb żegludze pod polską banderą, zajmującej się dowożeniem zamorskich ładunków z Londynu, Antwerpji, Rotterdamu i Hamburga. Rozpoczyna się realny konflikt interesów.

Z punktu widzenia rozwoju handlu morskiego konflikt ten jest zgóry przesądzony, żegluga własna jest dlań jednym tylko ze środków pomocniczych, których nie może przeciwdziałać w najdrobniejszej nawet mierze wielkiemu zadaniu samodzielności.

Trzeba wprawdzie pamiętać, że istnieje mnóstwo względów, które przemawiają za szybkiem powiększeniem własnego tonażu. Wspominamy tylko o względach socjalno - wychowawczych (korpus marynarki handlowej) obrony państwa, a zatrzymamy się dłużej na nieobojętnem zagadnieniu pozycji opłat za usługi komunikacyjne morskie w bilansie płatniczym (coprawda przy linjach dowozowych, przyjąwszy, że Gdynia może już korzystać z równych stawek frachtowych co i port skąd okręt polski dowozi towar — opłata dodatkowa za dowóz, wpływająca do kieszeni polskiego towarzystwa żeglugowego, pochodzi tyko z naszej własnej kieszeni). Gdyby zatem postawić zagadnienie na ostrzu noża to możnaby się wahać — jeśli jednak zważyć, że obsługa linij dowozowych nie jest jedyną możliwością wykorzystania naszych statków o średnim i małym tonażu, że jest tylko, w pewnym stopniu pójściem po linji najmniejszego oporu — gdyż istnieje przecież zawsze szansa stworzenia własnych linij śródziemnomorskich, linij na bliski wschód oraz linij dowozowych, tym razem z Gdyni, jako basis - port — do państw bałtyckich — to hierarchję interesów ustalić można w płaszczyźnie ogólno gospodarczej bez wątpliwości. Zastrzegamy się, że wszystko co wyżej powiedziane zostało nie ma być postulatem jakiegoś zwinięcia naszych linij, do portów północno - zachodnich stwarzających zresztą korzystną dla nas konkurencję frachtową), słowa nasze mają na celu jedynie stwierdzenie, że interes linij polskich nie jest argumentem przeciwko popieraniu ze wszelkich sił, żywiołowo rozwijającego się pędu do bezpośrednich

Polityka naszych linij żeglugowych musi, zaznaczam, nakreślić plan nowych połączeń, na które pójdą statki zdjęte z linji brytyjskich czy belgijskich, kiedy to cała juta, wszystkie skóry, czy soja płynąć będą zdala — wprost do Gdyni.

Statki nasze będą mogły być użyte w żegludze trampowej, tak jak to już teraz zresztą ma miejsce, przyczyniając się tem do ożywienia półmartwego rynku frachtów trampowych Gdyni. Wszystko to do chwili, kiedy stać nas będzie na szeroką budowę statków o większym tonażu i na przejęcie bezpośrednich połączeń, kiedy stać nas będzie na odpowiednie subsydjowanie żeglugi, albo kiedy stan żeglugi na świecie pozwoli znowu na ciągnienie marnego wprawdzie, ale zawsze 1½ — 2% zysku z kapitału narodowego ulokowanego we własnym tonażu.

Andrzej Marchwiński.

KARTKI CHLEBOWE.

Zniesienie kartek chlebowych w ZSRR. zapowiedziane na dzień 1. stycznia 1935 r. jest decyzją, która może i powinna być rozważana z całego szeregu punktów widzenia. Niewątpliwie doniosłe i interesujące jest zagadnienie, jak zmiana systemu w połączeniu z podwyżką płac wpłynie na kształtowanie się podziału dochodu społecznego, a w szczególności na sytuację miljonowych mas konsumentów miejskich. Niemniej ciekawe są konsekwencje, jakie z tej zmiany wyciągnie sowiecka polityka cen surowców rolniczych. Bardzo doniosłe jest również zagadnienie zmiany w układzie życia obywatela sowieckiego z chwilą, kiedy odpadną mu (może częściowo tylko) ogonki po chleb i skomplikowane manipulacje z książeczkami kartkowemi. Te wszystkie i temu podobne zagadnienia są niezmiernie ciekawe. Ale nie powinny one przysłaniać problemu podstawowego. A tym problemem jest poprostu samo zniesienie zasady rozdziału chleba w oparciu się o przydziały kartkowe i zastąpienie go nieporównanie prostszym i normalniejszym systemem sprzedaży, przy zachowaniu zasady regulowania przez państwo cen. To jest istotna treść nowego zarządzenia i ona też przedewszystkiem musi być wzięta pod uwagę. Inne aspekty sprawy, a w szczególności zapowiedziana rewizja poziomu płac i cen na niektóre płody rolne, mają charakter już tylko wyciągania konsekwencyj z podstawowego pociągnięcia.

Co oznacza to podstawowe posunięcie samo przez się? Rzecz niezmiernie prostą. System kartkowy został niewątpliwie wprowadzony w ZSRR, jako malum necessarium na tle niemożności jakiegoś takiego (nie mówiąc już o pełnem) pokrycia zapotrzebowania rynku. Wszelkie inne oświetlenia tej sprawy nawet w prasie sowieckiej, czy w oficjalnych enuncjacjach sowieckich, oświetlenia zmierzające do wykazania plusów systemu kartkowego z punktu widzenia klasy robotniczej, miały charakter odwrotny niż t. zw. „wyszukiwanie dziury w całem", t. zn. były swego rodzaju pocieszaniem się, że to przykre zarządzenie nie jest jednak w danych warunkach, t. zn. przy deficycie zbożowym, pozbawione pewnych dobrych stron. Niewątpliwie zresztą w tych właśnie warunkach system kartkowy musiał być w ZSRR. zastosowany i niewątpliwie łagodził działanie skutków kryzysu zbożowego w stosunku do klasy robotniczej, (a przynajmniej jej części), która w kartki chlebowe została wyposażona lepiej, niż inne odłamy społeczeństwa sowieckiego. Co mogłoby przemawiać za utrzymaniem systemu kartkowego z chwilą, kiedy zapasy zboża osiągnęły potrzebny poziom? Nic. Sam system jest prymitywny, kłopotliwy i dla państwa i dla konsumenta, jest to typowe dziecko nędzy. Inną zupełnie sprawą jest zabezpieczenie się przed ujemnemi skutkami zniesienia systemu kartkowego w płaszczyźnie rozdziału dochodu społecznego. Natomiast sam system kartkowy, który zrodził się z głodu towarowego, wytworzonego przez spadek produkcji zboża w kolektywach, a zaostrzonego przez postępy urbanizacji i forsowanie wywozu — musiał zginąć z chwilą, kiedy ustąpiło widmo niedoboru zbożowego dzięki wzrostowi produkcji zbożowej i zaniechaniu wywozu zboża, wywozu absurdalnego, nierentownego, tłomaczącego się jedynie walką o walutę, (co dziś już dla ZSRR. nie jest tak trudnym problemem). Co więcej, system kartkowy nie stanowił bynajmniej *organicznego* elementu sowieckiej polityki gospodarczej, ta polityka bowiem opiera się już od szeregu lat nie o kontyngentowanie zbytu czy konsumcji, a o regulowanie cen i płac, zaś kontyngentowanie zjawia się wyłącznie jako środek pomocniczy dla umożliwienia danej polityki cen, z chwilą, kiedy w danym towarze ujawnia się głód towarowy. Dodajmy wreszcie, dla wyjaśnienia, że kwestja poziomu cen chleba kartkowego jest zupełnie odrębną rzeczą od samej kwestji systemu kartkowego. A zatem, jeśli chodzi o *istotę sprawy*, system kartkowy został odrzucony jako rzecz niepotrzebna z chwilą opanowania sytuacji zbożowej. Na tem koniec i w tem sukces. Gdyby chodziło o inny artykuł, a nie o chleb, to sukces ten miałby znaczenie tylko odcinkowe. Natomiast, ponieważ mamy do czynienia z artykułem jaknajbardziej podstawowym, dlatego też zniesienie systemu kartek chlebowych uznać należy za znaczny krok naprzód na drodze — nie do zmiany systemu polityki gospodarczej Sowietów — a do realizowania tej polityki środkami prostszemi, bez odchyleń w kierunku kontyngentowania (gdyż kontyngentowanie jest nie *zasadą*, lecz *odchyleniem*).

Druga niemniej ważna w zasadzie, ale wtórna z danego punktu widzenia kwestja, to kwestja nowego, jednolitego poziomu cen chleba. Istnienie dwóch różnych poziomów cen jest zarówno w gospodarce kapitalistycznej jak i sowieckiej anomalją, toteż wcześniej czy później anomalja taka musi ulec likwidacji. Przy istnieniu dwóch cen zatraca się jasność obrazu sytuacji gospodarczej, zatraca się nawet tak podstawowa rzecz, jak możność precyzyjnej oceny ruchu płac realnych z chwilą, kiedy żaden aparat statystyczny nie może uchwycić dostatecznie dokładnie i dostatecznie masowo odsetku zakupów po niższej i wyższej cenie. Te cele któremi usprawiedliwiano (a nie uzasadniano) istnienie systemu dwóch cen, a mianowicie większe obciążenie kategorji lepiej zarabiających, dają się nieporównanie prościej i skuteczniej osiągnąć na drodze polityki płac, zwłaszcza, że rola chleba w budżecie maleje tembardziej, im wyższy jest budżet danego konsumenta. Sama podwyżka cen jest nieuchronnym fragmentem wyrównywania ceny chleba do ogólnego niveau cen, osiągniętego podczas okresu inflacyjnych inwestycyj.

Przejdźmy z kolei do tych zagadnień, które

nazwałem „wyciąganiem konsekwencyj“ ze zniesienia systemu kartkowego. A więc przedewszystkiem sprawa skompensowania przez podwyżkę płac, podwyżki ceny chleba. Wiemy, iż mówi się, o podwyżce funduszu płac o 10% przy podwyżce ceny chleba o 50% w stosunku do cen kartkowych. Nie jestem w tej chwili zorjentowany, jak ta 10-procentowa podwyżka funduszu płac zostanie rozłożona na poszczególne kategorje płac. Przypuśćmy więc tymczasem, że byłaby ona równomierna. Co oznacza 10-procentowa podwyżka płacy danego konsumenta przy 50-procentowej zwyżce cen chleba? Jeśli w budżecie danego konsumenta wydatki na chleb stanowiły 20%, podwyżka ceny pozostanie bez wpływu. Jeżeli mniej — konsument zyskuje. Jeżeli więcej — traci. W rozumowaniu tem zakładamy, że dla danego konsumenta podwyżka cen wynosi 50%, a to ma miejsce wtedy, kiedy konsument 100% zakupów chleba uskuteczniał po cenach niskich: to znaczy miał bardzo znaczny przydział kartkowy. Otóż o ile 20% wydatków na chleb przy zakupie chleba po cenach wysokich mogłoby być pozycją zbyt małą, o tyle przy zakupie całości chleba po cenach niskich, kartkowych, jest bodajże zbyt wysoka. A jak wygląda sytuacja tych, w których budżecie wydatki na chleb stanowiły więcej?

Większy udział wydatków na chleb w budżecie znajdziemy siłą rzeczy u tych konsumentów, którzy większy odsetek chleba zakupywali na wolnym rynku. Wzrost tych dwu wielkości jest równoległy. No, a z chwilą zwiększenia odsetka chleba zakupywanego po wysokich cenach, a nie po cenach kartkowych, nowy poziom cen nie oznacza już dla danego konsumenta wzrostu o 50%, lecz odpowiednio mniejszy, aż wreszcie dla pewnej kategorji zakupującej znaczną część chleba w sklepach skomercjalizowanych czy na wolnym rynku mamy już do czynienia nie z podwyżką, ale z obniżką. Brak więc jakichkolwiek podstaw do suponowania, że podwyżka cen nie zostanie skompensowana podwyżką płac. Ściśle odpowiedzieć na to zagadnienie można byłoby tylko po ustaleniu ilości zboża, sprzedawanego dotychczas po wysokich i po niskich cenach. A co do tego, wśród informacyj prasy polskiej, z której czerpałem podane wyżej cyfry, nie znalazłem żadnego materjału.

Nie poruszam innych, mniej ważnych zagadnień, gdyż pomimo poważnego znaczenia sprawy, o której mowa, dla sowieckiego życia gospodarczego, nie uważałbym za uzasadnione zajmowanie dla niej szczególnie obszernego miejsca na łamach „Gospodarki“, gdyby nie wyjątkowe już zupełnie bałamuctwo informacyj naszej prasy. Bałamuctwo to zaczęło się już w depeszach. I tak np. jedna z wiadomości prasowych zawierała twierdzenie, że dla skompensowania 50-procentowej podwyżki ceny chleba musiałaby być przeprowadzona 50-procentowa podwyżka płac. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby autor tej informacji zamierzał dowodził, iż ludność w Sowietach nie je nic oprócz chleba, więc niewątpliwie mamy do czynienia jedynie z lapsusem, wynikłym z pośpiechu. Gorzej, i to znacznie gorzej, że w artykułach omawiających tę sprawę zajdujemy niemniej jaskrawe błędy. Zamierzałem początkowo przytoczyć przykłady tych błędów z szeregu pism i artykułów, przyczem na liście tej musiałaby się znaleść niestety i korespondencja p. Otmara. Rezygnuję jednak z tego zamiaru, nietylko dla nieprzecążania „Gospodarki“ i nietylko z obawy znużenia czytelnika, ale również, a nawet przedewszystkiem dlatego, że w „Kurjerze Porannym“ znalazł sę artykuł - perła, przy którym wszystko, co napisano gdzie indziej blednie, ba, rozwiewa się, jak cień czy dym. Dowcipny i zjadliwy autor tego artykułu rozpoczyna od przypomnienia, że przed sześciu laty wprowadzenie systemu kartkowego oświetlano jako zwycięstwo socjalizmu. A ponieważ dziś zniesienie tego systemu ponownie oświetlane jest jako zwycięstwo, więc też p. Haki-bej cieszy się z krótkiej pamięci obywatela sowieckiego, który w przeciwnym razie „przestałby odróżniać zwycięstwo od klęski“. Mam wrażenie, że zarzutu krótkiej pamięci panu H.-B., postawić nie można, dlatego, że poprostu nie wie on, co sześć lat temu o systemie kartkowym w Sowietach mówiono. Natomiast pamięć pana H.-B. jest wygodna, bowiem nasunęła mu to, co w danym momencie było potrzebne do chwytu dziennikarskiego chociaż „niezupełnie“ pokrywa się to z nieporównanie bardziej skomplikowaną interpretacją systemu kartkowego przez władze sowieckie w chwili jego wprowadzania, interpretacją, która istotnie podkreślała pewne korzyści tego systemu, traktowanego jednak jako malum necessarium. Podobny chwyt stosuje pan H.-B. wtedy, kiedy przelicza cenę kilograma chleba w ZSRR, na przeszło 6 złotych. Pan H.-B. dodaje tu, iż stosuje w danym wypadku kurs, stosowany przez prasę sowiecka przy przeliczaniu zarobków robotników w Polsce na ruble sowieckie. To rozumiem! Przeciwnik nie jest *fair*, to poco pan Haki-bej ma być lepszy. Pan H.-B. woli choć raz zastosować sowieckie hasło „dognać i prześcignąć“. I wobec tego, że prasa sowiecka przeliczając zarobki robotników polskich, przemilcza polskie ceny, pan H.-B. przeliczając ceny nie tyka płac. Dla równowagi. Pan H.-B. odrzuca sowiecką motywację zniesienia systemu kartkowego, ba, nawet nie idzie w ślady tych publicystów, którzy po swojemu słusznie czy niesłusznie, interpretując dane posunięcie, pozostają jednak w płaszczyźnie danego problemu. Autor artykułu w Kurjerze Porannym jednem pociągnięciem pióra dezawuuje wszystkich. Ma „wrażenie, że trudności, jakie napotykał przemysł sowiecki w zdobyciu surowca, były jedną z głównych przyczyn, które doprowadziły do zniesienia systemu kartkowego.“ Nie jest tu powiedziane o jaki surowiec chodzi. Z poprzedniego ustępu artykułu możnaby wnioskować, że pan H.-B. ma na myśli chleb, mówi bowiem „cena chleba w rejonach przemysłowych musi być taka, ażeby producent był zainteresowany w jego produkcji, przyczem ceny surowca mają być podwyższone.“ Ale po pierwsze chleb surowcem nie jest, po drugie producentem chleba jest w Sowietach państwo, więc nie o to chodzi. Zacytowane wyżej zdanie jest nonsensem, chyba, że przypuścimy, iż pan H.-B. sądzi, iż słowo „chleb“ jest w języku polskim jak i w rosyjskim homonimem, i oznacza zarówno chleb jak i zboże. Dalsze ustępy częściowo wyjaśniają sprawę, wskazując, że swą specyficzną interpretację wybudował pan H.-B. na fakcie zamierzonej podwyżki cen na tak zwane kultury techniczne, len, konopie, itp. Tylko, że to odrobinę się nie udało. Zwyżka cen chleba ma być skompensowana, jak wiadomo podwyżką płac. Natomiast poprawienie relacji cen kultur technicznych do cen zboża jest w ZSRR,

problemem starym, a posunięcia w tym kierunku mogą być i były czynione równie dobrze przy istnieniu systemu kartkowego, jak i bez tego systemu.

Prawdziwe kwiatki artykułu p. H. B. zachowałem na koniec, tak jak jego autor, który je zamieścił właśnie w zakończeniu. Pierwszy z nich to twierdzenie, iż uchwała CKPartji, znosząca system kartkowy „jest wymownem stwierdzeniem, iż budowa socjalizmu zawiodła nawet w jednem państwie i że hasło generalnej linji Partji trzeba będzie włożyć, jak wiele innych do lamusa rekwizytów partyjnych". Dotychczas zarówno w obozie marksistowskim jak i przeciwnym, uważano, że zagadnienie budowy socjalizmu w jednym kraju jest trudniejsze niż w skali światowej. Pan H.-B. w pojedynkę przeciw całemu światu jest innego zdania. Motywacji ani tego zdania ani całego ustępu nie znajdujemy, i nic dziwnego, bowiem nic może jej być. W płaszczyźnie losów socjalizmu zniesienie kartek (w zależności od pewnych zasadniczych punktów widzenia) albo nie dowodzi niczego, albo jest symptomatem pozytywnym. No i wreszcie ostatni gwóźdź. Czytamy: „Dzisiaj trudno jest jeszcze ustalić pewien przyczynowy związek pomiędzy zniesieniem systemu kartkowego i Politoddiełów a zabójstwem Kirowa, lecz wydaje mi się, że niedaleka przyszłość związek ten ustali". Niema to jak przenikliwość. Pytałem się o zamach na Kirowa, ludzi, którzy zjedli zęby na zagadnieniach sowieckich. Nikt z nich nie zaryzykował stawiania jakiejkolwiek hypotezy. Ale pan H.-B. coś wie. Niedokładnie, ale wie. Wie Stalin, wie G. P. U. i wie pan Haki-bej. A przytem jest ostrożny. Związek przyczynowy. Ale jaki? Może Kirow był jednego zdania z panem H.-B. i uważał zniesienie kartek chlebowych za klęskę socjalizmu? A może lubił stać w ogonku po chleb i za to został zastrzelony?

Ten i podobny temu sposób informowania domaga się w mojem przekonaniu ostrej reakcji. I to z każdego punktu widzenia. Chce pan pisać objektywnie o danem zagadnieniu, to proszę się z niem przedewszystkiem zapoznać. Chce pan pisać w sposób propagandowy, antymarksistowski — to niech pan poszuka lepszej okazji, bo akurat ta do tego się absolutnie nie nadaje. Pomijam kwestję syntetycznego stosunku do rzeczywistości sowieckiej i oceny tej rzeczywistości, która w artykułach pana H.-B. i podobnych odbiega od tego, co ja osobiście uważam za słuszne. Pomijam kwestję poczucia pewnej sumienności w obliczu olbrzymiego przewrotu, czy jeśli kto woli, eksperymentu. Ale conajmniej nie wolno spekulować na nikłej znajomości zagadnień sowieckich w Polsce przez podawanie w żywem i poczytnem piśmie nieodpowiedzialnych wypocin.

Żałuję tylko jednego. Żałuję, że w Polsce niema kartek chlebowych. Domagałbym się wtedy odebrania panu Haki-Bejowi przydziału kartkowego. Niech je własne artykuły. To ciężka kara.

c. b.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

GOSPODARCZE PRZESŁANKI POLSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Polska polityka zagraniczna kształtuje się pod wpływem dwóch podstawowych konsekwencyj przeludnienia: niskiej stopy kapitalizacji i emigracji. Ponieważ jednak przeludnienie Polski jest tylko przeludnieniem wsi, w odróżnieniu do Włoch i Niemiec, gdzie przeludnienie ma charakter ogólny, polska polityka zagraniczna znacznie się różni od polityki zagranicznej tych państw.

Omawiając w moim poprzednim artykule (Gosp. Nar. Nr. 22) gospodarcze podłoże nastrojów wojennych w Europie, pominąłem zupełnie Polskę. Uczyniłem to dlatego, że dla braku miejsca musiałbym pokrótce określić sytuację Polski jako podobną do sytuacji Niemiec i Włoch a takie określenie byłoby zbyt schematyczne, a tem samem zbyt dwuznaczne. Wolałem więc omówić tę sprawę osobno.

Zaznaczam przytem, że nie podejmuję w niniejszym artykule próby ujęcia całokształtu problemów polskiej polityki zagranicznej. Polityka zagraniczna każdego narodu stanowi zwykle bardzo zawiły kompleks zagadnień, a jej ogólne wytyczne wynikają z historycznej linji rozwojowej państwa. Ograniczam się ściśle do spraw, oznaczonych w tytule, to znaczy do zagadnień gospodarczych, które w danym etapie rozwojowym państwa polskiego wymagają akcji na terenie zagranicznym, lub też wywierają wpływ na te posunięcia polityki zagranicznej, które w zasadzie są powodowane względami „pozagospodarczemi".

Stwierdziłem we wspomnianym wyżej artykule, że źródłem nastrojów wojennych w Europie jest przeludnienie Niemiec i Włoch, szukających możliwości ekspansji dla swej gęstej i rosnącej ludności. Każdy czytelnik czytając te słowa napewno pomyślał o Polsce. Polska bowiem również odczuwa trudności gospodarcze, typowe dla krajów przeludnionych i, używając terminologji Mussoliniego, również należy do „narodów proletarjackich", narodów, pozbawionych wielkich bogactw naturalnych i terenów do lokowania nadwyżki swej szybko rosnącej ludności. Ale mimo to sytuacja Polski różni się głęboko od sytuacji Włoch, a zwłaszcza Niemiec.

Najistotniejsza różnica polega przedewszystkiem na tem, że przeludnienie Polski jest przedewszystkiem *przeludnieniem wsi*. Z tego faktu wynika szereg dalszych konsekwencyj gospodarczych, socjalnych i politycznych, odmiennych niż w Niemczech i Włoszech. Ze względu na rolniczy charakter Polski bezwzględna gęstość zaludnienia w Polsce jest mniejsza, niż w tamtych krajach, a mniejsze uprzemysłowienie nie stworzyło wielkich skupień miejskich, będących równocześnie wielkiemi

skupieniami bezrobotnych. Mała urbanizacja Polski i przewaga rozproszonej ludności wiejskiej spowodowały, że w Polsce zabrakło dostatecznego podłoża do powstania masowych ruchów ideowo - socjalnych, o zabarwieniu nacjonalistycznem, domagających się ekspansji, podobnych do faszyzmu lub hitleryzmu. Fakt niedostatecznego uprzemysłowienia odgrywa jeszcze tę rolę, że stwarza słuszne przekonanie, iż postępy uprzemysłowienia mogą jeżeli nie całkowicie rozwiązać, to w każdym razie złagodzić przeludnienie wsi i płynące stąd trudności gospodarcze. Ten argument decyduje o stanowisku sfer naukowych i politycznych.

Jeśli istnieją w Polsce jakieś świadome, określone nastroje agresywne, to są to przeżytki ideologji politycznej i konkretnej polityki polskiej w wieku XVI i XVII. Nie mają one jednak podstaw gospodarczych w dzisiejszej rzeczywistości polskiej i nie mają możliwości urzeczywistnienia. Mówimy oczywiście o ekspansji na Wschód, który dziś bardzo poważnie się różni od dawnych „dzikich pól". Zdarzają się wprawdzie całkiem świadome nastroje imperjalistyczne wśród niektórych kół inteligencji miejskiej, są to jednak raczej nastroje o podłożu intelektualnem — rezultaty rozważań nad statystyką i bardziej rażącemi objawami w życiu gospodarczem. Nastroje te nie mają poważnej podstawy ilościowej i materjalnej, a ponadto, wyrósłszy z przesłanek intelektualnych, nie mają dostecznego napięcia emocjonalnego. Słowem, niema w Polsce czynnika socjalnego, który byłby zdolny do stworzenia ideologji agresji na zewnątrz. Dodajmy jeszcze do tego fakt natury poza - gospodarczej, o ogromnym „antyagresywnym" wpływie na polską opinję publiczną, a mianowicie istnienie jawnych apetytów sąsiedzkich na polskie terytorja, a będziemy mieli pełny obraz przyczyn braku nastrojów agresywnych w Polsce. Brak ten powoduje, że polska polityka zagraniczna kształtuje się bez presji jako tako poważnych sfer społecznych w kierunku dążeń do terytorjalnej ekspansji.

Mimo jednak, że przeludnienie i szybki przyrost ludności nie czynią polskiej polityki zagranicznej agresywną, tem niemniej wpływają one w sposób decydujący na jej kierunek i na kształtowanie się ogólnych warunków, w których ta polityka działa nawet wówczas, kiedy obraca się w sferze zagadnień poza - gospodarczych. Ażeby to twierdzenie udowodnić, zanalizujmy wpływ na naszą politykę zagraniczną dwóch konsekwencyj przeludnienia i szybkiego przyrostu ludności — słabej stopy kapitalizacji i emigracji.

Następstwem słabej stopy kapitalizacji jest ogromna rola kapitałów zagranicznych w przemyśle polskim i zadłużenie zewnętrzne Państwa. Kapitały obce w przemyśle są z natury rzeczy przewodnikiem obcych wpływów, działających na rzecz obcej racji stanu. Jednak dopóki przedsiębiorstwa przemysłowe były prywatną imprezą prywatnych kapitalistów i w polityce gospodarczej panował liberalizm, kwestja kapitałów obcych w przemyśle nie stanowiła żadnego problemu. Sytuacja jednak zmieniła się radykalnie od czasu rozwoju gospodarki związanej, kiedy inwestowanie kapitałów zagranicą przybrało formy wyłącznie prawie zakładania filji wielkich karteli i koncernów zagranicznych. Te wielkie zrzeszenia kapitałów o międzynarodowym zasięgu rozporządzają [illegible] środkami i wpływami, które uruchomią zawsze, gdy ich dążności wejdą w kolizję z polityką gospodarczą państwa, w którem mają swe filje i interesy. Do kolizyj takich nie brak okazji od czasu rozrostu interwencjonizmu. Uzyskując od macierzystego państwa poparcie w kolizjach na tle gospodarczem z innem państwem, wielkie kartele odwzajemniają się swojej macierzy wywieraniem presji gospodarczej w wypadkach, gdy tej macierzy chodzi o sprawy polityczne, poza - gospodarcze, na terenie, gdzie kartele te mają swoje wpływy. To samo się dzieje w interesach czysto finansowych. O tem, jak cały ten mechanizm był wykorzystywany dla wywierania presji na polską politykę zagraniczną, nie trzeba mówić, gdyż są to fakty ogólnie znane.

Kryzys gospodarczy wiele zmienił w tym obrazie. Ograniczenia cyrkulacji kapitałów międzynarodowych odebrały jeden z popularnych środków presji — groźbę odmowy kredytów, gdyż kredytów tych nie udziela się obecnie prawie wcale, niezależnie od jakichkolwiek warunków. Brak ograniczeń dewizowych w Polsce przy równoczesnem ich rozpowszechnieniu w innych krajach uczyniły Polskę rzadkim kontrahentem, który płaci odsetki i raty amortyzacyjne od pożyczonych kapitałów oraz dywidendy od lokat stałych, nie czyniąc przeszkód w przelewie należności z wyżej wymienionych tytułów za granicę. Wywieranie presji gospodarczej w tych warunkach w celu osiągnięcia ustępstw politycznych o charakterze pozagospodarczym jest ryzykowaniem straty dobrego interesu, gdyż presja gospodarcza mogłaby spowodować ograniczenia dewizowe, czy jako środek odwetowy, czy też poprostu jako skutek pogorszonej dzięki środkom represyjnym, sytuacji gospodarczej. A dobrych interesów jest dziś bardzo mało.

Tem się tłumaczy, że Polska uzyskała w ostatnich czasach dużą swobodę w swej polityce zagranicznej, którą to swobodę skrzętnie wyzyskuje. Dodajmy, że Polska nie jest pod tym względem wyjątkiem. Prądy autarkiczne w Europie ogólnie osłabiły wpływy gospodarcze wielkich mocarstw na państwa mniejsze i gospodarczo słabsze, co w wyniku dało obserwowane ostatnio zwiększenie niezależności, w posunięciach zewnętrzno - politycznych tych państw. Polska jednak poszła w tym kierunku najdalej, na co pozwoliły jej specjalne przyczyny, o których powiemy niżej.

Ujemne pozycje w bilansie płatniczym z tytułu spłaty długów i wypłaty dywidend muszą być pokryte dodatniem saldem bilansu handlowego. Lwia część naszego eksportu idzie drogą morską, Własne dojście do morza jest dla Polski conditio sine qua non niezależności gospodarczej, a tem samem politycznej. To są rzeczy znane. Określają one stosunek do tej sprawy naszej polityki zagranicznej. Własne wyjście na morze to postulat kardynalny, który już zdążył stać się truizmem, wejść w świadomość i podświadomość najszerszych mas, stał się kanonem i prawie banałem co jest „strasznie" przyjemnie stwierdzić.

Szybki przyrost ludności i słabe uprzemysłowienie uczyniły Polskę jednym z największych eksporterów ludzi. Emigracja z Polski nawet dziś, w okresie powszechnych ograniczeń immigracyjnych jest liczebnie całkiem poważna. Nie eksportujemy zupełnie kapitałów, a wywóz towarów w ogólnej masie handlu światowego jest nieznaczny. Natomiast eksport rąk roboczych sięga do najdalszych zakątków świata, stwarza więzi gospodarcze z du-

żą ilością krajów, wywołuje potrzeby komunikacyjne, co zapewnia podstawę materjalną dla stworzenia żeglugi dalekomorskiej, i powoduje konieczność dla państwa polskiego utrzymywania rozległych kontaktów politycznych i dyplomatycznych. Nie nasz mały handel, ale emigracja uczyniła z Polski państwo o zainteresowaniach światowych, czyli mocarstwo.

Dbałość o utrzymywanie łączności gospodarczej i kulturalnej emigrantów z macierzą i opieka prawna nad emigrantami należą do codziennych zadań i obowiązków naszych placówek zagranicznych. Te sprawy nie wyczerpują jednak związków pomiędzy emigracją i polityką zagraniczną. Fakt emigracji wywiera na tę politykę jeszcze wpływy uboczne, o wiele rozleglejsze co do zasięgu i to zarówno na krótką jak i na dalszą metę.

Przedewszystkiem musimy podzielić emigrację na stałą i sezonową. Stała emigracja zamorska w zasadzie nie powoduje kłopotów politycznych. Odwrotnie nawet, tworzy ona możliwości wpływów politycznych i gospodarczych, możliwości oczywiście skromne ze względu na skład socjalny i niezamożność naszych emigrantów, ale niezaprzeczalne. Natomiast emigracja zarobkowa na kontynencie europejskim stawia przed polityką zagraniczną zadania dość trudne i drażliwe. Określa ona stosunek Polski do międzynarodowego ustawodawstwa pracy: jesteśmy zainteresowani w rozwoju tego ustawodawstwa gdyż jest ono w interesie setek tysięcy naszych obywateli - emigrantów. Stąd wynika stale czynna rola Polski w Międzynarodowem Biurze Pracy. *Emigracja zarobkowa* do państw europejskich powodowała konieczność zawierania konwencyj emigracyjnych, określających prawa robotników polskich na obcym terenie. Ale na tem nie koniec. Warunki pracy emigrantów, stale komunikujących się z krajem, nie mogą pozostać bez wpływu na ogólne ustosunkowanie emocjonalne obu narodów nawzajem do siebie. Traktowanie emigranta - polaka przez ludność i władze kraju imigracyjnego, emigranta, który wraca potem do kraju, a często czyni to nawet co sezon, jest źródłem tworzenia się wyobrażeń o tym kraju w szerokich masach Polski, wyobrażeń niezależnych często od stanowiska kół socjalnie wyższych, prasy i oficjalnej polityki. Odwrotnie wyobrażenia te stwarzają w masach emocjonalne nastroje, które zaczynają oddziaływać na zorganizowaną opinję publiczną i na politykę, tworząc specjalną atmosferę. Daje się np. zaobserwować, że stosunek naszych mas ludowych do Niemiec, dokąd szła nasza masowa emigracja sezonowa, nigdy nie był całkowicie negatywny; można to wytłomaczyć sytuacją robotników - emigrantów, sytuacją nie lekką, ale pozostającą w ramach ściśle i rzetelnie stosowanych norm prawnych tego kraju, posiadającego bardzo rozwinięte ustawodawstwo robotnicze. W konsekwencji emigrant nie nabierał wprawdzie do niemców sympatji, ale wynosił stamtąd szacunek dla niemieckiego porządku i sprawiedliwości. Inne rezultaty, i to takie, jakich nikt nie przewidział, przyniosła emigracja do Francji.

Między Polską i Francją istniały bardzo dawne i zdawałoby się bardzo głębokie sympatje. Sympatje te były oparte na kontakcie wyższych socjalnie i kulturalnie sfer. Masowa emigracja polskich robotników do Francji ujawniła zupełnie niespodziewanie dla polskiej opinji publicznej ksenofobję społeczeństwa francuskiego. Stosunek tego społeczeństwa oraz władz do emigracji polskiej okazał się niechętny, a nawet wrogi. Prasa, francuska zaroiła się od rozmaitych napaści na polskich emigrantów, a pracodawcy z całą bezwzględnością wykorzystywali nieznajomość języka i panujących stosunków dla uprawiania wyzysku pracy tych emigrantów. W końcu nastąpiły znane szeroko wydalania robotników polskich z Francji. Fakty te wzburzyły opinję polską, ale co gorsza, przenikały one poprzez tysiączne rzesze powracających uchodźców w samą głąb mas ludowych, niosąc ze sobą nowe wyobrażenie o Francji, wręcz odmienne od tych, jakie pozostały w spadku po legjonach Dąbrowskiego i epopei napoleońskiej. Powiedzmy sobie otwarcie, że sprawa emigracji polskiej do Francji przyczyniła się do powstania atmosfery, w której zaczynają się lęgnąć zarodki polsko - francuskiego antagonizmu narodowego, antagonizmu specyficznego gatunku, gdyż nie mającego podstawy w bezpośredniej sprzeczności interesów narodowych. Zaznaczamy, że atmosfera ta zrodziła się o wiele wcześniej, niż oficjalne rozdźwięki polityczne, które miały ściśle rzeczowe i ograniczone co do terenu podstawy. Silna jednak i nieraz niewybredna w przejawach reakcja opinji publicznej i prasy na te rozdźwięki mogła rozwinąc się tylko na podłożu już istniejących w obu krajach nastrojów, zrodzonych z wyżej opisanych przyczyn. Rozdźwięki polityczne z Francją mogą minąc i napewno miną, gdyż tego wymaga objektywny układ stosunków europejskich. Tem niemniej nie da się zaprzeczyć, że atmosfera polsko - francuskiej współpracy politycznej uległa na przestrzeni dziesięciu lat dużej zmianie na gorsze. Możemy stwierdzić z całem przekonaniem, że polityka francuska w stosunku do polskiej emigracji wywiera daleko większy wpływ na kształtowanie się trwałych nastrojów sympatji względnie antypatji szerokich polskich mas do Francji — aniżeli rozdźwięki i konflikty dyplomatyczne natury czysto politycznej.

Powyższe rozważania o wpływie momentów ludnościowych na polską politykę zagraniczną, rozważania oczywiście nie wyczerpujące tej kwestji w pełni, gdyż jest to niemożliwe w ramach jednego artykułu, należy uzupełnić kilkoma uwagami na temat ogólnej sytuacji, w jakiej stawiają Polskę procesy ludnościowe w Europie.

Polska graniczy wyłącznie z państwami o dużym przyroście naturalnym. Ściśle rzecz biorąc obecnych Niemiec nie można już nazwać krajem o dużym przyroście naturalnym, jednak Niemcy są na tyle przeludnione, że nawet stosunkowo niewielki przyrost wystarcza dla wytwarzania się, a raczej utrzymywania się dążeń do ekspansji terytorjalnej. Zgrupowanie w Europie wschodniej państw, z których każde posiada dużą dynamikę ludnościową, stwarza odmienną konjunkturę polityczną, niż w zachodniej Europie. Polityka państw wschodnio - europejskich dzięki podobieństwom wewnętrznej struktury posiada cechy wspólne, skąd płynie możliwość wzajemnego rozumienia się i — porozumienia. Okoliczność ta znalazła wyraz w sieci paktów o nieagresji oraz konwencji o definicji napastnika. Wyrażając się terminem wziętym z fizyki, możnaby powiedzieć, że ciśnienie ludnościowe po obu stronach granic, przebiegających we wschodniej Europie jest jednakowe, wzgl. różnice są zbyt małe, by spowodować napięcie.

Jeśli chodzi o sytuację na zachodniej granicy polskiej, to mamy tu do czynienia z ciśnieniem ze strony Niemiec, którego siła ostatnio osłabła, równolegle z osłabieniem tempa przyrostu ludności. Z drugiej zaś strony duża dynamika ludnościowa Polski, która kieruje się na północ, do morza, spotyka na swojej drodze zamkniętą dziś dla sezonowej emigracji granicę Prus Wschodnich i wlewa się z impetem w wąski pas polskiego Pomorza, szukając dla siebie ujścia na morzu i przez morze. Pozycja zatem Polski w stosunku do Niemiec jest zupełnie różna od pozycji Niemiec w stosunku do Francji, a również Francji w stosunku do Włoch. Tam bowiem ze strony Francji niema kontrciśnienia. Z tych względów akcja dyplomatyczna w zachodniej Europie daje w wyniku takie porozumienia, których treścią są jednostronne ustępstwa na rzecz Niemiec, wzgl. Włoch. Jako potwierdzenie niniejszego wniosku może służyć bilans polityki francuskiej, poczynając od zawarcia wersalskiego traktatu. Polska natomiast może ofiarować *wzajemne* wyrzeczenie się ekspansji i wskutek tego uzyskać lepsze warunki niż wtedy, gdy podporządkowuje się polityce państwa, które tylko broni swej pozycji. *Na tej realnej podstawie, a nie na samej wyłącznie ambicji i dumie narodowej, jest oparty postulat samodzielności polskiej polityki zagranicznej.*

Postulat samodzielności polityki zagranicznej wypływa zatem ze specyficznej gospodarczej, i geopolitycznej sytuacji państwa. Specyficzność tej sytuacji podkreśla jeszcze fakt, że opisane w toku artykułu potencjalne zdolności ekspansywne Polski niedostatecznie silnie zorganizowane, ażeby stworzyć wyraźne nastroje agresywne, są jednak dostatecznie mocne, by umysłowość mas polskich nie ulegała panicznemu strachowi na myśl o wojnie, jak zwykle bywa u narodów, które nietylko bronią swego stanu posiadania, ale mogą w razie powodzenia coś zyskać. Ten fakt daje polskiej polityce zagranicznej możność czynienia śmiałych posunięć. Specyficzność interesów i specyficzność polityki zagranicznej nie jest oczywiście na świecie zjawiskiem odosobnionem. W gruncie rzeczy przecież każdy kraj ma swe specyficzne cechy. Dlaczego jednak tylko polska polityka zagraniczna wywołuje zdumienie opinji zagranicznej, jest określana jako niezrozumiała, zygzakowata. dwuznaczna i t. d.? Odpowiedź wydaje mi się bardzo prosta. Polityka każdego państwa europejskiego jest obserwowana w swej linji rozwojowej już od setek lat. Ma swą doktrynę, tradycję, literaturę. W tych warunkach można się nauczyć rozumieć nawet tak skomplikowaną politykę, jaką prowadzi z racji swych rozległych interesów Imperjum Brytyjskie. A jeśli nie rozumieć, to przynajmniej przyzwyczaić się do niej. Polska jest państwem dla opinji europejskiej nowem. Nie ma jeszcze określonej doktryny polityki zagranicznej i sama szuka dróg w nowym dla siebie świecie, po stu pięćdziesięciu latach braku praktyki. Nic dziwnego więc, że niebardzo nas rozumieją. Poczekajmy ze sto lat, to sytuacja napewno się zmieni.

NOTATKI

SŁOWNIK EKONOMICZNY.

„Całość jakiejś nauki, którą niegdyś jeden autor obejmował w wielkiem dziele, dzisiaj dzieli się na szereg działów i wymaga większej ilości pracowników, z których każdy ma swój własny dział, swoją specjalność. Po okresie polihistorów przychodzi okres specjalistów, coraz to precyzyjniejszych, coraz sprawniej w swym drobnym dziale pracujących, ale zarazem coraz węższych i — w pewnej mierze — coraz mniej ciekawych, coraz mniej indywidualnych. Nauka, która niegdyś rozwijała się etapami, znaczonemi nazwiskami wielkich myślicieli, dzisiaj rozwija się nierównie szerzej i systematyczniej powolną, ciągłą pracą ogromnej rzeszy pracowników, tworzących w całości szary, bezimienny zespół". „Dawniej mieliśmy do czynienia z encyklopedystami o zdumiewającym czasami zakresie wiadomości; dzisiaj encyklopedysta jest typem przeżytkowym, w obecnych warunkach pracy zbędnym, a natomiast coraz to bardziej koniecznem narzędziem pracy jest bezimienna, przez setki tysięcy autorów opracowana encyklopedja. Wielkie encyklopedje, słowniki, systematyki, niegdyś pracą poszczególnych autorów dokonywane, dzisiaj są organizowane zbiorowo, zatrudniają przez całe dziesięciolecia setki pracowników".*)

Jeżeli od tych ogólnych rozważań przejdziemy do kwestji „stanu faktycznego" w polskiej nauce ekonomicznej, będziemy musieli stwierdzić, że obok znanego powszechnie ubóstwa rodzimej literatury ekonomicznej i znikomej ilości tłomaczeń z literatury obcej, praca ekonomisty polskiego natrafia i na dalsze jeszcze luki, w postaci szczupłej literatury w zakresie nauk pomocniczych. W tej płaszczyźnie zatem „narzędzia pracy" ekonomisty polskiego przedstawiają się ubogo. Ale z jednej strony jest to zjawisko jeśli chodzi o twórczość oryginalną, zrozumiałe, przy niezbyt bogatej tradycji naszej wiedzy ekonomicznej, z drugiej, jeśli chodzi o tłomaczenia, przykre lecz nieuchronne, zważywszy na małą pojemność naszego rynku na książki fachowe. Bezwątpienia zresztą ekonomista, któryby zechciał wykorzystywać jedynie literaturę we własnym języku, skazywałby się, nietylko w Polsce, na zupełnie niedostateczny kontakt ze zdobyczami nauki. Braki w zakresie literatury przy uwzględnieniu właśnie czynnika znajomości języków obcych, są stosunkowo mniej dotkliwe. Gorzej jest z innymi odcinkami aparatu pomocniczego współczesnego pracownika naukowego. A więc przedewszystkiem kwestja polskiej bibljografji ekonomicznej, tego klucza, bez którego wy-

*) Prof. J. St. Bystroń „Człowiek i książka".

korzystanie nawet szczupłej literatury rodzimej jest wysoce utrudnione. Istnieje wprawdzie bibljografja prasy gospodarczej prowadzona w węższym zakresie w ciągu szeregu lat przez Ruch Prawniczy i Ekonomiczny, a w tym roku podjęta w rozszerzonej formie przez grupę czasopism gospodarczych warszawskich, ale ta jest użyteczna głównie dla publicystów czy polityków gospodarczych, mniej zaś niewątpliwie dla pracowników naukowych. Trudno jednak liczyć, ażeby w prędkim czasie udało się zagadnienie bibljografji książek ekonomicznych polskich rozwiązać, zważywszy na znaczny nakład pracy i kosztów przy tego rodzaju wydawnictwie, zgóry obliczonem na bardzo wąski rynek. Istnieje natomiast w zakresie zagadnienia aparatu pomocniczego odcinek doniosły, w tej chwili stanowiący dotkliwą lukę, z tem jednak, że luka ta da się przy dobrych chęciach zapełnić. Mam na myśli kwestję słownika ekonomicznego. Bynajmniej nie w sensie obszernego wydawnictwa, któreby w pełnem znaczeniu tego słowa mogło odegrać rolę encyklopedji ekonomicznej. Ta impreza wydawałaby mi się zbyt trudna w naszych dzisiejszych warunkach.

Zupełnie realna natomiast byłaby kwestja wydania krótkiego słownika ekonomicznego, któryby miał na względzie kilka równoległych celów, takich, jak wyjaśnienie i ustalenie polskiej terminologji ekonomicznej, jak stworzenie małej, czysto podręcznej encyklopedji dla fachowców i, do pewnego stopnia, zastąpienie podręcznika ekonomicznego dla szerszych kół. Bezwątpienia poszczególne z tych celów krzyżują się ze sobą nawzajem. Ale liczyć się należy z tem, że tylko przez równoległe ich uwzględnianie udałoby się stworzyć nieco szerszy rynek dla tego rodzaju książki, książki, której opracowanie z natury rzeczy jest dość kosztowne. Z punktu widzenia potrzeb ekonomistów specjalnie ważne wydaje mi się zagadnienie terminologji, która w języku polskim dość obfituje w barbaryzmy, (niezawsze nieuniknione) i nie zawsze jest dostatecznie jednolita, co znów wiąże się z ubóstwem własnej tradycji. Mniejsze natomiast znaczenie przywiązuję do drugiego celu, t. zn. stworzenia „małego Larousse'a" dla ekonomistów. Pod kątem szerszego wykorzystania podnieść należy nietylko dotkliwie dający się wyczuwać brak nowszych podręcznikowych publikacyj ekonomicznych w Polsce, ale również i niesłychane pomieszanie pojęć, na jakie natrafia się nietylko w t. zw. „szerszych kołach społeczeństwa" ale nawet w poważniejszej jak na nasze stosunki publicystyce. Jeśli nawet koncepcji powyższej można byłoby zarzucić tak poważny brak, jakim jest połowiczność, t. zn. pomieszanie celu popularyzatorskiego z naukowym, to jednak przemawia za nią tak doniosły wzgląd, jak jej *wykonalność*. Wydaje mi się zresztą, że sprawa do pewnego stopnia wisi w powietrzu, gdyż już kilkakrotnie z różnych stron zdarzało mi się słyszeć zupełnie niezależnie powstające opinje, zmierzające w tym właśnie kierunku. Czy do podjęcia inicjatywy nie byłoby tu powołane któreś z istniejących towarzystw ekonomicznych, ze stołecznem na czele?

b.

ZBOŻE ARGENTYŃSKIE.

Gdy przed dwoma laty pojawiła się wiadomość o tem, że przeciętne koszty produkcji kwintala pszenicy w jednej z prowincji argentyńskich wynoszą dziesięć złotych, przyjęto wiadomość tę z niedowierzaniem.

Przed paroma tygodniami prasa fachowa niemiecka i angielska podała rezultat obliczeń, dokonanych w całym szeregu warsztatów rolnych argentyńskich, według których koszt produkcji jednego kwintala kukurydzy wynosi tam od sześciu do sześciu i pół złotych.

I ta wiadomość przyjęta została z niedowierzaniem. W jakim kierunku idą te wątpliwości? Jest to stanowczo zbyt nisko rachowany koszt produkcji — piszą fachowcy europejscy. Prawdopodobnie obliczenia dokonane były w wyjątkowo korzystnych warunkach glebowych, w dobrze administrowanych warsztatach. Specjaliści angielscy i niemieccy przypuszczają, że rzeczywisty koszt produkcji kwintala kukurydzy, średnio dla całej Argentyny jest pewno o jakieś 10 do 20% wyższy. Że koszt produkcji kwintala pszenicy wynosi dziesięć złotych — już uwierzyli. A nawet może, może trochę taniej... Kto ich tam wie, tych Patagończyków.

I to wszystko.

To niewiele — a zarazem bardzo dużo. Szczególnie dla nas. Argentyńska kukurydza, to na rynkach zbóż pastewnych konkurent naszego żyta. Argentyńska pszenica, to gorszy sortyment tego zboża na rynkach światowych — współzawodniczący z polską pszenicą.

Nasza niska stopa życiowa — to nasz atut. „Wytrzymamy nawet najbardziej zabójczą walkę na rynkach światowych". Otóż nie. Jest kraj, który ma lepsze warunki glebowe i klimatyczne, niższą stopę życiową. Przytem kraj nieprzeludniony, dla którego sprawa rozwoju gospodarczego nie jest kwestją życia i śmierci tak jak dla Polski.

Dzisiejsza niezwykle niska cena światowa jest dla Argentyny *rentowna*. Wywożąc zboże może rozwijać swą gospodarkę. Nie kosztuje ją to żadnego wysiłku. To nie jest wywóz, wynikający z natężenia wszystkich sił gospodarki narodowej, tak jak dumpingowy eksport japoński.

Niska stopa życiowa rolników argentyńskich nie jest rezultatem ostatnich lat. Tak żyli zawsze. Możliwość podniesienia tej stopy istnieje, gdy eksportowi argentyńskiemu zostanie otwarta droga, gdy produkcja rolna w tym kraju będzie się rozwijać, intensyfikować. Jeżeli zaś rynki zbytu będą się kurczyć — Argentyna będzie produkować dalej przy tych kosztach produkcji, przy niezmienionej stopie życiowej. Może zresztą, jeżeli będzie bardzo źle, rolnik argentyński będzie musiał zacisnąć pasa — tak jak zmuszeni byli to uczynić rolnicy w wielu krajach europejskich.

Częstokroć zapatrzeni na naszego zachodniego sąsiada, posiadającego najwyższe koszty produkcji zboża na świecie, zapominamy, że w tej dziedzinie szanse nasze na rynkach eksportowych są bardzo nikłe. Że tutaj nie pomoże nawet nasza niska stopa życiowa. Dopóki jesteśmy krajem wywożącym zboże dopóty skazani jesteśmy na nierówną

walkę. Jeżeli bowiem nawet dzięki rozmaitym kombinacjom kontyngentowym udaje się nam zdobyć rynki zbytu na zboże po stosunkowo dobrej cenie — to i tak eksport ten jest nierentowny. Musimy zaś za to płacić importem, który w wielu wypadkach dla krajów wywożących jest rentowny. W ten sposób na dłuższą metę osłabiamy się sami.

Wbrew często głoszonym frazesom, na rynku światowym cena odgrywa jeszcze swą rolę i przy wszystkich systemach preferencyjno - kontyngentowych istnieje dążenie do czynienia zakupów tam, gdzie dany towar można dostać najtaniej.

Rezultat zmagań na dłuższą metę zależy od wytrzymałości walczących. Wytrzymałość zaś jest zwykle odwrotnie proporcjonalną do wysiłku, który wkłada się w walkę.

W walce o rynki zbożowe zwycięży Argentyna.

b. ł.

ROWERY.

Zanim Polska pokryje się gęstą siecią dróg bitych i kursujących po nich samochodów — upłynie jeszcze dużo wody w nieuregulowanej Wiśle. Do tego czasu trzeba będzie chodzić piechotą lub używać — roweru.

Ile jest w kraju rowerów — nie wiadomo. Nie ulega jednak wątpliwości, że rower — poza b. dzielnicą pruską — uważany jest za przedmiot zbytku i jako taki, jest rzeczą nader rzadką. Sprzyja temu wygórowana cena roweru a niemałą też rolę odgrywa fiskalizm samorządu, który w miarę możności traktuje rowerzystę jako bogatego właściciela samochodu „in spe". Świadczą o tem opłaty, pobierane za karty rowerowe i tabliczki rejestracyjne. Suma tych opłat wynosi: w m. st. Warszawie 11 zł., w woj. Warszawskiem 5,30 zł., w woj. Białostockiem 1,20 — 1,50 zł., w woj. Nowogródzkiem 3,20 — 11,50 zł., w m. Bydgoszczy 3 zł., w m. Toruniu 13 zł. itd.

Sprawa opłat rowerowych jest, rzecz prosta, sprawą błahą. Można w niej jednak widzieć przykład polityki fiskalnej, niedopasowanej do warunków i możliwości postępu gospodarczego i nieuwzględniającej potrzeb krajowego przemysłu. Przemysł rowerowy nie jest, coprawda, przemysłem w dosłownem znaczeniu, gdyż rola jego sprowadza się w gruncie rzeczy do montażu części, wytwarzanych przeważnie zagranicą. Jak świadczą liczby, import tych części wzrasta (w ciągu pierwszych 10 mies. ub. r. za 1,0 milj. zł., w tymże okresie b. r. — za 1,3 milj. zł.). Tem samem nie rozwija się w sposób dostateczny krajowy przemysł (w prawdziwym sensie tego słowa), wyrabiający części rowerowe, nie mówiąc już o przemyśle, wytwarzającym rowery w całości. Względy techniczno - mobilizacyjne przemawiałyby za zmianą takiego stanu rzeczy, co w konsekwencji musiałoby doprowadzić do uznania rowerów za artykuł powszechnej komunikacji i do usunięcia dowolności i fiskalizmu w ich opodatkowaniu. *br.*

NIEKONSEKWENCJA.

O tem, że w lipcu b. r. była wielka powódź, która zniszczyła środkowe powiaty woj. Krakowskiego, wiadomo w Polsce każdemu. Nikomu też nie jest obce, że ofiarami powodzi padli nietylko rolnicy, lecz również drobni producenci przemysłowi i kupcy. Na kataklizmie ucierpiał pośrednio cały przemysł, całe rzemiosło i kupiectwo woj. Krakowskiego, bezpośrednio związane z ludnością, której fala porywała dobytek.

Te jasne prawdy nie są widać dość jasne, skoro w akcji pomocy powodzianom zastosowano metodę, która nie świadczy o zrozumieniu łączności pomiędzy krajowym, lokalnym producentem a krajowym, lokalnym odbiorcą. Zamówienia na dostawę obuwia dla powodzian nie otrzymali, jakby się zdawało szewcy, dotkniętego klęską województwa, lecz zagraniczna firma Bat'a. Motywy tego fałszywego kroku są dwa: 1) szewcy nie zdążą szybko z dostawą i 2) Bat'a zatrudnia polskiego robotnika (w Chełmku pod Oświęcimem). Oba argumenty nie wytrzymują krytyki: po pierwsze — rzemiosłu nie można dawać zamówień na ostatnią chwilę, po drugie — ilość zatrudnionych i zarabiających jest przy warsztacie rzemieślniczym znacznie większa, aniżeli przy maszynie, a po trzecie — wycieńczone katastrofą województwo powinno zyski z dostaw publicznych zatrzymywać u siebie, nie przelewając ich zagranicę.

Wiemy, że pisząc przeciwko *fabryce*, narażamy się na zarzut wstecznictwa i obrony zacofanego *rękodzieła*. Przyjmujemy to ze spokojem, którego brakowało inicjatorom powierzenia zamówień *interwencyjnych* czynnikowi, stojącemu poza nawiasem polskiego gospodarstwa narodowego.

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". CZESŁAW BOBROWSKI

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICA 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. Piotra Laskauera, Marjensztadt 8, tel. 2.22-39.